

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.

Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$  " — 40 "

$\frac{1}{4}$  " — 20 "

$\frac{1}{8}$  " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Bez echa.

Rzecz niezmiernie charakterystyczna, że książka *Consulibus'a*, o której zdawaliśmy sprawę w jednym z niedawnych naszych numerów, dotąd nie wywołała w prasie polskiej żadnego zainteresowania. Publicystyka polska, która nie grzeszy obfitością podobnych oryginalnych wydawnictw, nie może zwać winy tego zaniedbania na karb nawału tematów zarówno zasadniczych, jak aktualnych. Jałowe przelewanie z pustego w próżne, którym się zajmują dzienniki warszawskie i prowincjonalne, wypełniające swe szpalty niezliczonymi kombinacjami centroprawu, centrolewu, rządów koalicyjnych, z Piłsudskim, czy też bez Piłsudskiego lub całkiem już śmieszna dyskusja o wadach i zaletach ustroju monarchicznego nie usprawiedliwiają w żaden sposób uporczywego przemilczania o tak interesującej i poruszającej tyle poważnych zagadnień publikacji, co książka *Consulibus'a*.

Bojkot ten wypływa z innych powodów - z niechęci do omawiania śmiałych tez, tak daleko odbiegających od uświęconych formułek i szablonów, a przede wszystkim z niezdolności do samodzielnego myślenia, do czego zmuszają wywody autora „Doświadczeń i błędów naszej polityki zagranicznej”.

Już zreferowany przez nas pogląd *Consulibus'a* na kwestję Wileńszczyzny tak radykalnie się różni od powszechnie przyjętych zapatrywań, że krytyka znalazłaby się w kłopotcie, gdyby musiała zabrać głos w tej materji. Miałaby zadanie ułatwione, o ileby z podobnym wnioskiem wystąpił ktoś, kogoby można było zaliczyć do wrogów zdecydowanych polskości i państwa polskiego, a więc odsądzić od czci i wiary, napiętnować go jako zdrajcę albo narzędzie intrygi niemiecko-bolszewickiej i t. p. Do autora omawianej książki wszakże nie sposób zastosować

tego rodzaju metody. Wszystkie jego wywody wypływają z gorącej troski o dobro i trwałość państwa polskiego, są podyktowane przez niewątpliwy patriotyzm. Interes państwowy jest tu wyłącznym kryterjum i żadne inne względy nie odegrywają roli.

Dlatego też warto posłuchać, jak ten zdecydowany realista i państwowiec polski, daleki od wszelkich sentymentów i obcy wszelkiemu doktrynerstwu zapatruje się na inną kwestję, bezpośrednio dotyczącą naszego kraju, na zagadnienie białoruskie.

Skrytykowawszy ostro i bezwzględnie traktat Ryski, głównie z powodu utraty przez Polskę większej części terenów białoruskich, *Consulibus* uważa, iż mimo to Białoruś powinna pozostać celem, do którego dążyć należy.

„Wprawdzie uczyniliśmy wszystko, — czytamy dalej—co było w mocy naszej, ażeby stworzyć sobie z Białorusinów wrogów, a więc, by i kresy północno-wschodnie swoje przy nadarzającej się sposobności utracić. Czyli podarować Sowiecom, bowiem Białoruś niepodległa ani w walce na dwa fronty, ani wogóle inaczej jak we wspólnej z Polską organizacji państwowej nie powstanie. Istnieje zależność bezwzględna od siebie krajów obydwóch: bez Białorusi wolnej nie ma trwałości byt państwowy Polski, a tylko Polska mocna jest Białoruś wyzwolić. To znaczy, że pomimo szkód, wyrządzonych przez nas sobie tu w latach ostatnich, należy front ten natychmiast radykalnie ratować, póki się jeszcze ocalić da, czyniąc by nie tylko chciał z nami współżyć, ale by Białoruś zakordonowa również do tego całem jeststwem dążyła.

Wymaga to z naszej strony oczywiście odpowiedniej polityki wewnętrznej na kresach północnych. „Szesnastkę“ od tego więc końca jest słuszniej „rozsadzać“, aniżeli od Żydów. Pomimo, iż Białorusi posiadamy zaledwie skrawek, niedość tam jednak rozpocząć jakiegoś kursu względnie liberalnego,

w najlepszym powodując razie zmianę orientacji ludności z niechętną na wyczekującą.

Polityka ustępstw poszczególnych, właściwa konserwatyzmowi, jest zła podwójnie. Po-pierwsze dlatego, że nie tylko nie tłumi nastroju opozycyjnego, lecz trzyma go właśnie w napięciu stałym, zachęcając powodzeniami do upominania się tem energiczniejszego o ustępstwa dalsze, czyli do walki burzliwej kontynuowania, a więc celu swego nie osiąga. Po-drugie wypuszcza z rąk inicjatywę ustroju państwa, oddając ją faktycznie w ręce żywiołu opozycyjnego, na którego żądania coraz się go przeobraża, gdy przecież obóz parujący o tyle jest wartościowy, o ile przoduje w samodzielnej twórczości, w wykonywaniu swego planu organizacyjnego, nie w hamowaniu lub uwzględnianiu cudzych. Innemi słowy, w sprawie kresów białoruskich powinniśmy wyrobić sobie program i bez zwłoki go w całości w życie wcielić.

Że obszar to niewielki, a ludność posiada nie-liczną, w państwie szanującym wolność i ubiegającym się o przywiązanie obywateli — różnicy to nie stanowi. Fakt, że mamy w łonie swem teren narodowościowo odrębny, sam przez się wystarcza, by go albo odosobnić w zarządzie specjalnym, albo z nim łącznie wytworzyć organizację dwunarodową. Ponieważ znajduje się na drodze naszych wielkich zainteresowań gospodarczych i trosk publicznych, izolacja (np. autonomia) byłaby raczej szkodliwą. Pozostaje równouprawnienie, oczywiście nie w znaczeniu „mniejszości” (termin oparty na uzależnieniu uprawnień od liczby obywateli, zgoła dziejom Polski obcy), lecz współgospodarza kraju. Sam przez się słuszny, staje się postulat ten nieodzownym i aktualnym, skoro zważymy, iż dotyczy forpoczt na rubieży polskiej najgroźniejszej dla samego bytu Rzeczypospolitej oraz kierunku jej rozwojowego, ukazującego wielkie obszary i liczby ludności zakordonowej“.

W dalszym ciągu autor wylicza reformy, jakie należałoby w powyższym duchu przeprowadzić. A więc uznanie języka białoruskiego, jako drugiego języka urzędowego, powołanie do rządu ministra—rodaka, zorganizowanie szerokiego samorządu i t. p. W tym punkcie popada w pewną sprzeczność z sobą, bo będąc przeciwnikiem autonomji, jak to wyżej zaznacza, dalej mówi o wyodrębnieniu terenu białoruskiego w składzie części województwa Poleskiego, części Wileńszczyzny, woj. Nowogródzkiego oraz powiatów Grodzieńskiego i Wołkowyskiego woj. Białostockiego.

Mniejsza zresztą o szczegóły. Powtórzmy tu to samo, cośmy mówili ex re projektu rozwiązania kwestji wileńskiej: na razie nie mają one znaczenia praktycznego. Gdyby zresztą państwo polskie wstąpiło na drogę, wskazywaną przez Consulibusa, musiałoby przedewszystkiem porozumieć się ze stroną zainteresowaną, z przedstawicielami uświadomionego społeczeństwa białoruskiego i wysłuchać ich żądań i postulatów. Ale do tego jeszcze bardzo daleko, gdy obecnie nawet skromne wymagania działaczy oświatowych białoruskich są zapoznawane kompletnie i całkowicie lekceważone. Wobec przyjęcia obojętnej publikacji Consulibusa trudno się spodziewać, aby opinja polska dobrowolnie zeszła z dzisiejszego swego nacjonalistycznego stanowiska i zaczęła się orjentować w kierunku wskazywanym przez autora. Raczej skłonna ona jest do przechylenia się na stronę płytkich, ale pociągających swą przeciętnością wskazań p. Witosa.

Z rozważań wszakże Consulibusa niewątpliwie można wyciągnąć jeden uboczny wniosek, ten mianowicie, że interes państwa polskiego, głęboko ujęty bynajmniej się nie pokrywa ani z szowinizmem endeckim, ani z imperjalizmem obszarniczym ani z neonacjonalizmem demokratycznym. Innemi słowy, „Dziennik Wileński”, „Słowo” i „Kurjer Wileński” razem wzięte, nie reprezentują jeszcze całokształtu polskiej myśli politycznej.

J. Baudouin de Courtenay.

## Wielonarodowość

Nie dawno ukazała się na półkach księgarskich broszura prof. J. Baudouin de Courtenay p. t. „W kwestji narodowościowej”, zawierająca wiele głębokich uwag i trafnych spostrzeżeń. Na specjalne wyróżnienie ze względu na ciekawy temat zasługuje rozdział o wielonarodowości, który pozwalamy sobie przedrukować w całości.

Mieszkając bądź to na pograniczu etnograficznym dwóch narodowości, bądź też w dzielnicy etnograficznie i narodowo mieszanej, można nietylko mówić od samego początku dwoma językami, ale także brać udział w życiu kulturalnym jednej i drugiej narodowości i czuć się kulturalnie solidarnym i z jedną i drugą narodowością, — a nawet kochać i miłować twórczość kulturalną i jednej i drugiej narodowości.

Z jakiego powodu ma człowiek we własnej du-

szy toczyć zaciętą walkę i należąc nietylko obiektywnie, ale także subiektywnie, do dwóch zbiorowisk narodowych, np. do żydowskiego i do polskiego, albo też do litewskiego i polskiego, jako Żyd lub Litwin nienawidzić w sobie samym Polaka, albo też jako Polak nienawidzić w sobie samym Żyda lub Litwina? Tylko takie obmierzłe czasy jak nasze zmuszają ludzi do staczenia takich tragicznych walk we własnej duszy.

Doskonale kwestję tą rozstrzygnął pewien szewc w Jaswojniach b. gub. Kowieńskiej.

W lecie r. 1885 bawiłem chwilowo w tem mieście razem z Janem Juszkiewiczem, profesorem gimnazjalnym w Kazaniu, zasłużonym pracownikiem na polu filologii litewskiej i gorącym patriotą litewskim, pomimo że w domu w obcowaniu ze swą rodziną używał języka polskiego. Otóż temu propagatorowi litewkości szewc miejscowy przyniósł zamówione buty. Załatwiwszy tę sprawę życiową, Juszkiewicz zwrócił się do szewca z zapytaniem: „Jakiego jesteś plemienia?” (Kokies gimines esi?). „Jestem katolik” (asz esmu katalikas)—odpowiada szewc. Na to Jusz-

## Watykan a Litwa.

Ze sfer kościelnych miejscowych otrzyma-  
liśmy poniższe uwagi, nacechowane niewątpliwą  
kompetencją i bezstronnością, które prostują  
i uzupełniają tendencyjne informacje prasy  
polskiej.

Ogromnie niesumienną jest u nas obsługa in-  
formacyjna czytelnika przez prasę polską, zwłaszcza  
jeśli chodzi o Litwę. Zjawisko to jest tak ogólnem,  
że trudno nawet rozstrzygnąć, kto trzyma tu prym  
niesławny: endecy czy ich przeciwnicy. Z natury rze-  
czy bardziej skomplikowana dziedzina spraw kościel-  
nych cierpi na tam szczególnie.

Cofnijmy się pamięcią o rok wstecz, gdy w Li-  
twie po podpisaniu konkordatu Polski z Watykanem  
ostro wybuchły namiętności polityczne przeciw osobie  
przedstawiciela Stolicy św. w Kownie, arcybiskupa Zec-  
chiniego. Istotnie padły wówczas tam słowa nierozważ-  
ne, ci i owi posunęli się nawet do czynów brutalnych,  
wymierzając sobie satysfakcję doraźną, jak zwykle, na  
szybach apartamentów posła papieskiego, zakotłowało  
się w sejmie kowieńskim... Gdy to się działo u zbiegu  
Wilji i Niemna, w Wilnie i Warszawie mieliśmy nie-  
samowity widok obłudnego rozdzierania szat z po-  
wodu wypadków kowieńskich. Ohyda tej taktyki  
tkwiła w tem, że nacjonalizm polski, tak podówczas  
zgorszony Kownem, na śmierć zapomniał, jak złośli-  
wie porykiwał wcale nie tak dawno przeciw nuncju-  
szowi Rattiemu za jego bezstronność w kwestji ślą-  
skiej, nazywając go lekkomyślnie *kreaturą niemiecką*.  
Zapomniała też endecja, jak to przemocą wydalony  
został z Sejn biskup sejneński Antoni Karaś, a obłó-  
żnie chory metropolita Szeptycki internowany był  
w Poznaniu... Dla tego trudno serjo traktować tę hi-  
pokryzję, mimo że opinia i prasa polska nie prze-  
stają do dziś dnia paradować jeszcze na koturnach  
wyniosłej dumy ze swego niby to integralnego ka-  
tolicyzmu. Ale mniejsza o to nastawienie, które jako  
tani patos nierównie łatwiej przychodzi niż analiza  
krytyczna czynów własnych.

Zabierając głos w r. ub. o konkordacie polskim,  
twierdził, że ten akt prawny między Watykanem  
a Polską w nlczem oczywiście nie przesądza sprawy  
granic Litwy i krzywdy jej żadnej nie wyrządza.  
Układ sił politycznych na świecie zbyt jest jeszcze

daleki od zasad sprawiedliwości ewangelicznej. Nie  
zawodnie tedy Stolica Ap. miałaby i ma niejedno  
do powiedzenia światu, życiowe jednak względy na-  
kazują, *ad vitanda maiora mala*, brać nieraz za pod-  
stawę do działania obecny stan faktyczny, by oparł-  
szy się na nim, móc dopiero pracować dla jutra lep-  
szego a *sprawiedliwszego*. Acz z niemałym trudem,  
przyszła powoli do tegoż przekonania i większość  
społeczeństwa Litwy. Ostry protest jej, wręczony se-  
kretarzowi stanu kard. Gasparri'emu, napisany był  
wcale logicznie (aluzja do faktu nieuznania przez  
Stolicę Ap. zaboru Rzymu) i przekonywująco (brak  
u Rady Ambasadorów kompetencji decydowania  
o granicach Litwy), życie jednak praktycznie przeszło  
nad nim, nie tykając jego walorów argumentacyj-  
nych, jak i w tylu innych wypadkach czynić to zwy-  
kło. Pewnem zato zadośćuczynieniem dla Litwy było  
uzyskanie od Stolicy Ap. oświadczenie, że pozwalając  
z konieczności na wcielenie Wilna do prowincji ko-  
ścielnej polskiej, sprawy wileńskiej wcale nie chce  
przesądzać w sensie dla Litwy niekorzystnym. Owszem  
sfery miarodajne Watykanu zapewniły Litwę, że  
dobro Litwy, tego *kroju Marji*, jak pięknie naz-  
wał ją Pius XI, w *równej* mierze leży na sercu Ojca  
chrześcijaństwa, jak i dobro innych krajów katolickich.  
Zresztą czy może być inaczej?!

W dniu Zmartwychwstania Pańskiego, 4-IV. r.  
b. w Rzymie Papież Pius XI podpisał bullę, która  
stwarza z Litwy samodzielną prowincję kościelną.  
Przedwzysztkiem Konstytucja Apostolska eryguje na  
Litwie metropolję kowieńską, w skład której wejdą  
arcybiskupstwo kowieńskie i diecezje poniewieska  
oraz telszewska—wszystkie trzy wykrojone z dotych-  
czasowej diecezji kowieńskiej. Poza metropolją ko-  
wieńską, istnieć będą, jako zaczątek drugiej *in spe*  
metropolji w Litwie, zostawione *niektnięte* części die-  
cezji sejneńskiej i wileńskiej, przyczem pierwsza na-  
zywać się będzie diecezją wołkowyską, druga — ko-  
szedarską, a to od miejsca zamieszkania ich bisku-  
pów. Z okręgu kłajpedzkiego utworzono prelaturę,  
odłączono go od diecezji warmińskiej i wcielono do  
prowincji kościelnej litewskiej. Zarządzać nią będzie  
biskup telszewski.

Konstytucja Apostolska wyraźnie zaznacza, że  
bierze pod uwagę terytorjum, jakie obecnie stanowi

kiewicz, nieco zirytowany: „Nie o to chodzi, ja py-  
tam, czy jesteś Polak, czy Litwin”. Szewc odpowiada:  
„Jestem Litwin, jestem Polak” (esmu lietuvininkas  
esmu lenkas).—„To nie może być; musisz być albo  
Polakiem, albo Litwinem”. To nieporozumienie i nie-  
rozumienie dwunarodowości ze strony zacietrzewio-  
nego doktrynera narodowościowego człowiek prosty  
ale obdarzony zdrowym rozsądkiem, rozwiązał spo-  
kojną i rozumną odpowiedzią: „Mówię po litewsku,  
mówię po polsku” (kałbu lituviszkai, kałbu lenkiszka).

Znałem osoby o wyższym poziomie umysłowym,  
należące i świadomie i uczuciowo do dwóch narodo-  
wości, dokładniej mówiąc, do dwóch zbiorówisk ludz-  
kich, wyodrębniających się od innych takich zbioro-  
wisk pod względem wierzeń, tradycji i wspólności  
kulturalnej.

W latach 1905–07 w czasach pierwszej „rewol-  
ucji” rosyjskiej, poznałem w Petersburgu inżyniera  
Hirszsohna, pochodzącego z Warszawy. Opowiadał  
mi, że należąc do rodziny żydowskiej, czuł się soli-  
darnym ze społeczeństwem żydowskim wogóle; je-  
dnocześnie jednak od najmłodszych lat czuł się Po-

lakiem i uważał siebie za Polaka. Kiedy jednak po  
r. 1880 fala pogromów rosyjskich, zapoczątkowanych  
w Niżnim Nowgorodzie, dotarła do Warszawy i kie-  
dy w Warszawie poczęto rabować sklepy żydowskie,  
rozpruwać pierzyny i poduszki żydowskie i wogóle  
niszczyć mienie żydowskie, przeciwstawił się polsko-  
ści jako Żyd prześladowany. Przeniosłszy się nastę-  
pnie do Petersburga i widząc tam prześladowanie za-  
równo Żydów, jak i Polaków powrócił do dawnej  
dwoistości narodowej i poczuł się na nowo i Żydem  
i Polakiem.

Zasłużony działacz w dziedzinie równoupraw-  
nienia wszystkich narodowości Rosji i obrońca od-  
rębności ukraińskiej, nieboszczyk Aleksander Russow  
zapewniał, że czuje się jednocześnie solidarnym  
z dwiema narodowościami: ukraińską i wielkoruską  
czyli rosyjską. Jeden z wybitnych językoznawców  
mieszkający przed laty w Warszawie, pisał do mnie,  
że dopiero moje wywody o możliwości należenia je-  
dnocześnie do dwóch i więcej narodowości objaśniły  
mu jego stan psychiczny pod tym względem. Po-

państwo litewskie i tworzy zeń wyżej wymienione diecezje. Zastrzega sobie prawo, w razie zmiany warunków, przekształcenie ustanowionej prowincji kościelnej na bardziej im odpowiadającą. Jak widzimy, Stolica Apostolska szczęśliwie omija drażliwą kwestję polityczną i sporną między Litwą a Polską o granice, podkreślając niejako, że nikomu granic nie ustala, ani ustalonych jednostronnie nie myśli potwierdzać, bo to leży poza jej kompetencją, która wyczerpuje się dziś całkowicie uporządkowaniem i zorganizowaniem życia kościelnego w warunkach wytworzonych.

Nazwiska osób, które stanowią dziś będą episkopat litewski, napełniają otuchą tych, co poczuwają się do sprzyjania wysiłkom tego dzielnego i bliskiego nam narodu ku odrodzeniu. Czując oddawna powołanie do stanu zakonnego, biskup Karewicz skorzystawszy z reorganizacji życia kościelnego na Litwie zrzekł się biskupstwa kowieńskiego. W uznaniu zasług i trudów urzędowania biskupiego przez lat dwanaście, podczas wojny wszechświatowej i budowania podwalin państwa, Pius XI wyniósł bpa Karewicza do godności arcybiskupa Scytopolitańskiego.

Potraktował też Pius XI właściwie, t. j. jako złośliwe kłamstwa i oszczerstwa, zainicjowaną przez Al. Meysztowicza kampanję przeciw osobie ks. kan. J. Kuchty, którego papież obdarzył dziś wysoką godnością biskupa diecezjalnego. Enecja wileńska też niewątpliwie żywić długo będzie żal do Piusa XI, że działał nie po myśli organu z ul. Dominikańskiej.

W takiej taktyce Rzymu względem Litwy nic zresztą niema nowego. Stolica Ap., troszcząc się o duszę jednostki, nigdy nie będzie lekceważyć sobie katolickiego narodu o kilku milionach ludzi, mającego tak piękną tradycję, jak *Litwa Pobożna, a Żmudź Święta!* To też ostatnie kilka lat przyniosły Litwie szereg takich wyróżnień, jak podniesienie przez Benedykta XV katedry żmudzkiej, z powodu 500-lecia istnienia diecezji, do godności bazyliki mniejszej, przyczem papież w piśmie odnośnym Wilno nazwał nawet *stolicą Litwy*; schyłek r. ub. przyniósł znowu rzadki w dziejach dyplomacji papieskiej wypadek, iż nie Włoch, lecz właśnie rodak, a mianowicie arcybiskup Matulewicz pośredniczy w

pertraktacjach między swą ojczyzną Litwą a Watykanem.

Pewne nieraz nieporozumienia trzeba przypisać bardzo słabej u Włochów znajomości geografii Europy Wschodniej. Tu np. należy odnieść omawianie w r. 1925 diecezji żmudzkiej w pewnym urzędowym rzymskim *Bolletino* pod rubryką... *Polonia*, lub bardziej głośny wypadek skierowania bulli nominacyjnej dla biskupa sufragana Michalkiewicza do... Rygi. Litwa więc nie była i pod tym względem wyjątkiem...

Tyle w Wilnie pisano o tendencjach litewskich do utworzenia kościoła narodowego na Litwie. I cóż? Wszystko to jest wierutnym fałszem. Malkontenci wszędzie, a więc i w Litwie, snuć mogą podobne zamierzenia. Jednak w setnej bodaj części kościół narodowy w Litwie nie poczynił takich zdobyczy, jak w Polsce, gdzie ma już swych biskupów, księży, parafje, kościoły, prasę i td. Namiećnie kalumnjowany przez prasę polską, ks. Purycki, skoro doszły doń słowa oskarżenia Litwy i jego o tendencje sekcjarskie, w liście publicznym zawezwał oszczerców, by dowiedli istnienia czegoś podobnego, w Litwie bowiem o żadnym takim ruchu nikt nic nie wie.

Drugim podobnym kłamstwem, w swoim czasie szeroko kolportowanym w Wilnie, a powtórzonem wślad za prasą polską i przez „Berliner Tageblatt“, było, że jakoby Stolica Apostolska nakazała biskupowi kowieńskiemu Fr. Karewiczowi zastosować względem szeregu księży Litwinów kary kanoniczne w całej ich surowości za działalność polityczną. A tu czy znajdziemy choć szczyptę prawdy? Oto przed nami leży biuletyn *Kathol. Internat. Presse-Agentur*, wydawany we Fryburgu szwajcarskim. Styczniowy numer tej źródłowej publikacji zawiera *in extenso* list b-pa Karewicza do redakcji, stwierdzający, że *żadnego* wskazania Stolica Ap. w tej materji nie udzieliła mu, zarządzenie zaś karne wydał z własnej inicjatywy i to wyłącznie względem *kilku księży apostatów*, z których *notabene* żaden nie jest członkiem sejmu kowieńskiego, żadnej roli w życiu politycznym Litwy nie odegrywa i przewiny są natury zgoła *niepolitycznej*. Dlatego nikczemną potwarzą jest sporządzona *nie* w Kownie, lecz w Wilnie, w naszych redakcjach lista księży litewskich (Reinys, Vojlokajtys, Jurgutys, Krupowiczius, Puryckis...), na

czuwa się on jednocześnie do solidarności z narodowością niemiecką i polską.

Poznałem też w Dorpacie znakomitego poliglotę, doktora Sauerweina, tłumacza przy Brytyjskiem Towarzystwie Biblijnem. W swym poliglotyzmie przeszedł on swego słynnego poprzednika, kardynała Mezzofantiego. Niemiec — Hannoverczyk z urodzenia, rozumiał prawie 200 języków; władał zaś mniej lub więcej biegle chyba przeszło 70 językami. W wielu z tych języków układał utwory wierszowane. Niektóre z nich, jak np. litewskie, weszły do skarbca odnośnej literatury. Twierdził on, że przyswajając sobie nowy język, zdobywa nową duszę. Z niektórymi z narodów, których język sobie przyswoił i używał go za narzędzie własnej twórczości literackiej, zespolił się do tego stopnia, że współczuł ich dążeniom politycznym i np. w czasie wyborów do parlamentu niemieckiego agitował na korzyść kandydatów narodowych litewskich w okolicach Tylży, a serbołużyczkich w okolicach Budyszyna i Chociebuża. Spraw narodów uciśnionych bronił z zapałem jak spraw własnych. Nawoływał do zgody i pokojowego współ-

życia wszystkich narodów. Człowiek ten był prawdziwym wielonarodowcem w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu.

Od łączenia w swej duszy zarówno uczuciowej, jak i uświadomionej przynależności do dwóch narodowości należy odróżniać inne objawy, tylko pozornie podobne, ale w każdym razie szwankujące pod względem etycznym.

Byłoby np. nadużyciem wskazanej przezemnie „dwunarodowości” w szlachetnem znaczeniu tego wyrazu, gdyby podszywać się pod nią usiłowali tak świetnie scharakteryzowani przez satyryka rosyjskiego Sałtykowa — Szczedrina „Taszkientcy” rosyjscy, którzy przy zmienionych okolicznościach przedziergnęli się bez żadnego trudu w „Taszkientców” polskich i, jak dawniej rusyfikowali „inorodców” rosyjskich, tak dziś polonizują „mniejszości narodowe” polskie. Również możliwe jest nadużywanie pojęcia „dwunarodowości” przez szpiegów, służących dawniej rządowi rosyjskiemu, a dziś bez najmniejszych skrpułów służących rządowi polskiemu.

Pewien osobnik, który niegdyś, w roli jednego

których głowy rzekomo spadła tak sroga kara biskupa. Żaden „Dziennik Kowieński“ takich fałszów nie ważyłby się w Kownie drukować, pokusiła się oto w Wilnie kłamliwa prasa nacjonalistyczna.

Oprócz tego sądy nasze o stosunku Watykanu do Litwy specjalnie utrudnia metoda naszych informatorów prasowych, którzy oddawna uznali za słuszną i celową dla siebie starannie zamilczać o tych wszystkich wysiłkach, jakie wyznająca katolicki światopogląd część Litwy nieprzerwanie czyni, by dopędzić w uświadomieniu, rozwoju i organizacji katolików niemieckich, holenderskich, belgijskich i innych. Dwudziestomiljonowy naród polski nie zdobył się, mimo tylu już lat niepodległego bytu swego, na *żaden* zjazd katolicki, któryby się mógł równać z corocznym przeglądem sił katolickich na styczniowym zjeździe katolików litewskich. Komu tedy przystałoby bardziej wyrzec dziś przynajmniej: *mea culpa?*

P. K.

## Bezprzykładna cierpliwość.

### IV.

Policja pow. Dziśnieńskiego, składająca się ówczesnie z rozmaitej mieszanki, wśród której przeważały żywioty z Małopolski, popisywała się w nadzwyczajny sposób: dość powiedzieć, że 4 komendantów policji państwowej z kolei zajęło gościnne cele w prymitywnym więzieniu w Głębokiem, o funkcjonarjuszach niższej policji niema co wspominać, — ci zmieniali się jak w kalejdoskopie; było też ich co niemiara: w miasteczku Leonpolu pow. Dziśnieńskiego było ich w pewnym czasie (a był to już rok 1922) dwunastu, następnie dziesięciu, teraz sześciu i to tam, gdzie za czasów rosyjskich był jeden urjadnik? Czyż nie jesteśmy policyjnym państwem?

Policja ta nic zgola nie robiła, albowiem bała się panicznie baonów celnych, których funkcjonarjusze niejednokrotnie aresztowywali i zasadzali policjantów do „paki“ za rozmaite drobne uchybienia funta klaków nie warte, lub po prostu dla popisania się swą władzą, o rozległości której pisał do mnie pewien oficer baonu celnego: „ja Najwyższy stróż

i władca porządku Polski na tym kilkudziesięciokilometrowym odcinku każdej chwili władzą mi daną mogę wysiedlić każdego z pasa przyfrontowego“. I niestety nie był on daleki od prawdy, bo starosta o 100 klm. odległy, któremu niby baony celne podlegały, nie miał faktycznie żadnej władzy nad niemi, śmieli się też oni z niego i pisali zuchwałe papiery, któremi się chełpili. Starosta tylko jeździł po zupełnie spokojnym powiecie z 4 konnymi strażnikami i żandarmem na koźle powozu, policja zaś w bezczynności grała w karty, piła samogonkę i urządziła wraz z baonami przymusowe wieczorynki, zaganiając dziewczyny rzemieniami w nocy do improvizowanej sali balowej.

Swę upośledzenie policjanci odbijali na cywilach. Jeden z nich niejaki J. pobił i skopał członka komitetu kościelnego — zagrodowego szlachcica Reuta do tego stopnia, że ten zaniemógł i krew mu się rzuciła ustami. Wywołało to straszliwe oburzenie, był to bowiem człowiek ogólnie szanowany. Drugi przodownik K. aresztował i zbił wieśniaka miejscowego chcąc wymusić na nim zeznanie, że on fałszował stempel do cechowania drzewa, należący do pewnego ziemianina; gdy zaś ów ziemianin, dowiedziawszy się o tym fakcie od naocznych świadków, oburzony natychmiast napisał skargę na kata policjanta, chciała go policja kryminalna przybyła na śledztwo steryzować, strasząc, że go posadzą do kozy — za *oszczerstwo*.

Jakie były nieraz stosowane metody przez policjantów, — może pouczyć następujący fakt. Pewien mój znajomy, człowiek zupełnie wiarogodny wiózł z majątku do Wilna na święta trochę wędlin i ruchomości ocalałych w majątku; przepustki były już złożone oficjalnie, mój znajomy jednak niedowierzając żadnym rozporządzeniom rządowym, bo miał: „kochanieńki, a może już sekundę temu zmienili, my w naszym niedźwiedzim kącie nie wiemy, a przecież u nich *postępek na języku w dziennikach*, ale w papierach urzędowych to *moc wsteczna działa*“ przezornie zaopatrzył się w przepustkę u starosty, który śmiał się z dziwaka. Gdy jednak stanął w Dukaszach żandarm z policjantem zażądali odeń groźnie przepustki; po ostrej kłótni, żandarm zniknął, policjant zaś stając na baczność przemówił: „Dlaczego

z policmajstrów petersburskich pomagał ministrowi Kasso gromić i ujarzmić uniwersytet petersburski, po przewrocie bolszewickim wstąpił na służbę polską i, jako jeden z dygnitarzy policji polskiej, trzymał w ryzach „inorodców“ na kresach. Może się on powoływać na swą „dwunarodowość“: dusza jego mieści w sobie dawniejszą rosyjskość i dzisiejszą polskość. W Poznańskim i na dzisiejszem Pomorzu polkiem grasują osobniki, które za czasów pruskich były gorliwymi hakatystami, a dziś są nie mniej gorliwymi „patryotami“ polskimi, członkami „Ligi obrony wiary i ojczyzny“.

Otóż powoływanie się takich podejrzaných indywidualności na ich rzekomą „dwunarodowość“ byłoby bezczelnością i szyderstwem. Nie są to wcale „dwunarodowcy“, ale tak dobitnie napiętnowane przez język włoski *figure porche* (postacie świńskie) czyli po polsku „szuje“ lub „szubrawcy“.

Natomiast wobec niezaprzeczonych i bijących w oczy faktów, musimy uznać obiektywną dwunarodowość a nawet wielonarodowość pewnych miejscowości, bądź to z ludnością pod względem narodowym

różnorodną, bądź też będących stolicami krajów dwunarodowych lub wielonarodowych. Takimi miejscowościami są np.: Praga czeska, będąca pod względem narodowym stolicą kraju niemiecko-czeskiego; Strasburg — francusko-niemiecki; Gorica, Triest, Rieka-Finome i t. d. — miasta włosko-słowiańskie; w Polsce Lwów, Wilno, Poznań i t. d.

Przy uznawaniu i zachowywaniu stworzonych przez wypadki dziejowe granic politycznych, państwowych i administracyjnych, choćby ze względu na niewywoływanie widma nowej rzezi wszechświatowej, nietylko zdrowy rozsądek, nietylko poczucie sprawiedliwości, ale po prostu względy utylitarne, i państwowe i społeczne powinny skłaniać nas do uznawania podobnych dwunarodowości i wielonarodowości.

Spokojne współzycie dwóch i więcej uczuć narodowych w jednostkowej duszy ludzkiej może znaleźć odbicie w spokojnem współzyciu obywateli tego samego kraju i wszystkich mieszkańców całej kuli ziemskiej.

pan dziedzic nie powiedział, że to ze dworu, to byśmy nic nie robili, *bo te przepisy—to tylko dla parchoń żydów i chamów-białorusów*”, a naokoło zebrał się tłum złożony właśnie z Żydów i Białorusinów. Budujące nieprawda? A kto winien tutaj? Juści nie ten prostak, lecz władza, co go tak wychowała.

Jednakże trzeba przyznać, że najbardziej się wyróżniali oficerowie z baonów celnych. Nigdy nie zapomnę, jak dn. 13 sierpnia 1922 r. jeden z oficerów w moich oczach uderzył szabłą księdza katolickiego, gdy ten w ostrych słowach napiętnował nie stosowne jego zachowanie się i protestował przeciwko wprowadzeniu uzbrojonych żołnierzy na scenę, na której miało się odbyć przedstawienie amatorskie, (np. w języku polskim). „Pięknie budujecie Polskę, do pięknego końca ją doprowadzicie” — z goryczą wyrzekł ksiądz i oby jego słowa nie okazały się proroczymi, bo czyn ten tak wyjątkowy i ohydny uszedł oficerowi na sucho. Za księdzem sponiewieranym nikt się nie ujął, bo miał opinię białorusomana, a napastnik otrzymał awans, obecnie zaś wyszedłszy do dymisji jest kierownikiem szkoły w pow. Braślowskim...

Drugi oficer tegoż baonu celnego, popełnia szereg bezpraw; arestuje miejscowego wieśniaka ze wsi Bryżelubki gm. Leonpolskiej za poturbowanie lekkie żołnierza, złapanego gdy okradał mu sad z owoców i, po wytrzymaniu go w „pace” i groźbach wysłania do koncentracyjnego obozu, a było to w czasie letnich robót, składa niby sąd z miejscowych włóścian steroryzowanych i *każe go w dzień „prawosławnego prazdnika”*, jak sam mi opowiadał i zostało zresztą to stwierdzone, publicznie na placu w wiosce obić różgami.

Tenże sam oficer rekwiruje lokal szkolny i przez 2 lata przeszło nie ustępuje stamtąd, pomimo interwencji rady gminnej, wójta, inspektora szkolnego, protokołów i rozkazu szefa ekspozytury przyfrontowej żandarmerji polowej majora Dobrzańskiego, — którego wysłannikowi porucznikowi żandarmerji bezczelnie oświadcza w obecności wójta: „choćby sam Piłsudski kazał, nie ustąpię”.

A było to bezprawie, bo lokale użyteczności publicznej według ustawy nie podlegają rekwizycji rezultat zaś — dwukrotne opóźnienie roku szkolnego, trudności w uzyskaniu innego lokalu etc. i to tam, gdzie się chce szerzyć kulturę polską i oświecać ludność!

Ale czyż nie najwymowniej charakteryzuje poziom moralny tych panów oświadczenie pewnego oficera legjonowego wysokiej rangi, który niżejpodpisanemu, gdy mu w obecności tychże oficerów żalił się na ucisk, gwałty i bezprawia nad miejscową ludnością, odrzekł: „Cóż pan chcesz, przysłano ich tu aby się *odkuli*” (sic!) to — znaczy, aby widocznie swą kabzę ubogą napełnili kosztem ludności. Pogarda, z jaką te słowa były wypowiedziane — nie wywołała z ich strony nawet rumieńca.

\* \* \*

Mnóstwo jeszcze podobnych faktów mógłbym przytoczyć, ale chyba i tych wystarczy. Niech tylko nikt nie mówi o zbyt pośpiesznem uogólnianiu z mej strony, o tem, że to było na początku rządów polskich, że teraz jest znacznie lepiej, niech też nikt mi nie zarzuca, że to szkoldnictwo narodowe *mówić i pisać prawdę*, że to woda na młyn wrogów!

Teraz, gdy mamy ustrój demokratyczny, gdy korespondenci zagraniczni zagląдают do każdego kąta, śmiesznem i bezcelowem byłoby ukrywanie

tego, co jest złe, co jest szkodliwe dla państwa, co jest podle i nikczemne pod każdą szerokością geograficzną. Stokroć więcej szpetnych i niestety prawdziwych informacji zamieszczają o nas dzienniki zagraniczne, niż daje nasza własna prasa.

Więc na co ta komedia? Narzekano na premiera Grabskiego, że oszukiwał społeczeństwo różnymi horoskopami, ale on rozumiał, że tylko usypianiem do snu słodkimi kołysankami można zadołnić polskie społeczeństwo, bo ono lubi, aby je chwalono, aby je głaskano, aby wmawiano, że „tout est bien dans la meilleure des nations”... Polacy są odważni, gdy idzie o szarżę pod Somosierrą, lecz cywilnej odwagi im brak; tu konwenanse, tu stosunki towarzyskie osobiste lub rodzinne, tu tchórzostwo przed odwetem czynnym nie pozwalają na napiętnowanie publiczne ogólnych nadużyć, niesprawiedliwości i łajdactw; za to w kółku swoim najpotworniejsze plotki grasują najbezkarniej szerząc depresję i zamęt. Różne matrony — poważne i świątobliwe szepczą: to te masony, żydy, niemcy, bolszewicy takie plotki i potwarze szerzą ale pomimo tego uszu nadstawiają. Szeptaniną w salonach i buciarach Polska słynie, ale krzyknąć głośno na cały kraj boi się każdy, bo go ogłoszą za szkodnika, bolszewika, warchoła lub warjata, że ośmielił się prawdę, o której wróble świergocą na dachach, twarzo i otwarcie wypowiedzieć i kij w mrowisko wsadzić. Niżejpodpisany nie ukrywa, że nie jest to łatwem, lecz wypowiedział szczerze to co widział i co przeboleł.

Euzebjusz Łopaciński.

## Bibliografia.

Wołosowicz Stanisław. *Ziemia Wileńska*. Biblijoteczka geograficzna „Orbis”. Kraków 1925.

Autor, geolog z zawodu, dobrze jest obeznany ze stroną fizjograficzną obranego przez siebie tematu i ta część broszury wypadła bez zarzutu. Natomiast dział „Ludność i stosunki narodowościowe” pozostawia wiele do życzenia. Dość powiedzieć, że wyliczając i opisując narodowości, zamieszkujące Wileńszczyznę p. Wołosowicz pomija całkiem Litwinów, nadmieniając o nich tylko tyle: „Litwini tworzą kilka małych wysepek w pow. Lidzkim oraz w pow. Świąciańskim”. O Białorusinach autor pisze, że wznajają prawosławie, gdyż „Białorusinów katolików zaliczyć należy raczej do ludności polskiej”(1). Albo takie zdanie: „Tak zwana inteligencja białoruska świeżej daty składa się w części z Polaków, którzy dla źle zrozumianej kariery politycznej, często nie władając językiem białoruskim, prowadzą propagandę antypaństwową polską za pieniądze wrogich sąsiadów”. Za czyje pieniądze i dla jakiej kariery p. Wołosowicz wypisuje takie brednie — tego nie podejmuje się odgadywać, że nie pisze wszakże z dobrą wiarą, to nie ulega wątpliwości, gdyż czasu wojny spędził on kilka lat w Wilnie, miał więc możność zapoznać się bezpośrednio ze stosunkami miejscowemi i przedstawić je w swej broszurze w prawdziwym, a nie w karykaturalnym świetle.

Tendencyjne również i zdradzające słabą znajomość historii są dociekania autora w kwestji składu etnicznego ludności Wilna i W. ks. Litewskiego wogóle, co zresztą jest zrozumiałe, gdyż trudno wymagać od przyrodnika, aby był również dobrym etnografem, lingwistą i historykiem. Można tylko uczynić

mu zarzut, że nie poprzestał na dziedzinie, której jest znawcą bezsprzecznym i wykroczył poza zakres swej specjalności, szerząc w ten sposób fałszywe i bałamutne wiadomości o naszym kraju wśród szerokich sfer czytelników polskich, dla których są przeznaczone popularne wydawnictwa „Orbis“.

a.

**Ks. B. i R. Życie i działalność J. E. ks. Romulda Jałbrzykowskiego, pierwszego biskupa łomżyńskiego.** — Łomża 1926. Str. 80 z ilustr.

Wkład za broszurą ks. Witolda Czeczotta: *Diecezja mińska i jej pasterz biskup Zygmunt Łaziński*, odbito w drukarni diecezjalnej w Łomży jej siostrzyce, książeczkę powstałą z analogicznej potrzeby, a zawierającą życiorys biskupa łomżyńskiego

Broszura się składa ze słowa wstępnego i dzieł w pięciu rozdziałów. Autorzy prowadzą nas naprzód do szlacheckiego zaścianku na pograniczu Mazowsza i Podlasia, gdzie ujrzał światło dzienne przyszły biskup. Dalej przechodzimy do Łomży, w której pobiera humaniora. Stąd znowu do zacisznych Sejn, gdzie się sposobi do stanu kapłańskiego, a po kilku latach aż nad Nową, gdzie się oddaje wyższemu studjum teologicznemu, zdobywając *magisterium cum eximia laude*. W tym to czasie młody lewita zadzierzgnął więzy serdecznej zażyłości z kilku księżmi Litwinami, trwające po dziś dzień. Wymienić tu należy nazwisko ks. infułata Błażewicza. Nie zdziwi nas wcale, że biskupi sejneńscy ś.p. Baranowski i Karaś stale wyróżniają ks. Jałbrzykowskiego. Prawie cały czas widzimy go na odpowiedzialnych stanowiskach profesora i vice-regensa seminarjum duchownego w Sejnach. Dobry przykład ofiarnej miłości księży Litwinów do ludu i nadzwyczaj czynna ich praca kulturalno-oświatowa w Sejnach, będących przez czas pewien twierdzą duchową, kuźnią narodową i ośrodkiem życia i działalności budzącej się Litwy, nie pozwoliły Polakom tamecznym przepaść swęj sprawy narodowej lub pogrzyżć się w wygodnej beczynności. Czy mamy temu się dziwić?! Właśnie dziwnem byłoby, jeśliby ten odruch nie nastąpił, zwłaszcza w człowieku, posiadającym tyle niepożytej energii, przedsiębiorczości i zapału, co ks. prof. Jałbrzykowski. Nie przeszkodziło mu to wcale na stanowisku wychowawcy alumnów zdobyć sobie serca tak Polaków, jak i Litwinów. Notujemy tu w tym czasie godny uwagi rys w działalności ks. Jałbrzykowskiego. Oto zawsze jest on zdania, że praca duszpasterska w kraju o ludności mieszanej powinna się odbywać „nie tylko w jednym języku! Ks. Profesor zrozumiał, że na kresach kapłan nie może skutecznie pracować, jeżeli nie pozna drugiego języka, w danym wypadku litewskiego”. Za słowem jego nieodstępnie kroczył czyn i dobry przykład. Tak sam doskonale się nauczył on władą mową litewską i innych do tegoż zachęcał. Wizytując mieszane parafje, przemawia dziś ks. biskup do ludu litewskiego w jego macierzystym języku.

Czasu wojny wszechświatowej, ks. Jałbrzykowski, gdy warunki zmusiły go wyjechać z Sejn na turlaczkę do Rosji, przebywał od połowy sierpnia 1915 r. prawie stale na Białorusi, pracując kolejno w Mohylowie i Mińsku Białoruskim, gdzie założył szereg instytucyj oświatowo-wychowawczych.

W r. 1917 wrócił razem z biskupem Karasiem do kraju, gdzie rychło ordynariusz uczynił go wikariuszem generalnym polskiej, a więc południowej części diecezji sejneńskiej. Na zjeździe biskupów polskich, który desygnował ks. Jałbrzykowskiego na stanowisko biskupa sufragana diecezji sejneńskiej, wa-

kujące od śmierci ś. p. biskupa Holaka, jak też na jego konsekracji był obecny biskup Karaś. I w ciągu dalszym bp sufr. Jałbrzykowski był najzupełniej poprawnym względem swego biskupa ordynariusza, którego powiadał o *każdym* ważniejszym swym czynie. Również tylko na wyraźne żądanie bpa Karasia, podjął się bp sufr. Jałbrzykowski trudów rektorstwa seminarjum duchownego w Łomży. Ten stan rzeczy trwałby może dłużej, jeśliby nie wypadki roku 1920, kiedy bpa Karasia wygnano z Sejn. Również wolności, a nawet życiu obecnego biskupa łomżyńskiego w tym czasie poważne groziło niebezpieczeństwo, był już uwięziony przez bolszewików i miał być oddany pod sąd „czerezwycajki”..

Niewątpliwie ciekawym źródłem do poznania ideologii bpa Jałbrzykowskiego jest zainicjowany przez organ „Życie i praca”, *stojący na gruncie neutralnym*.

Broszura, z której treścią poznamyśmy wyżej naszych czytelników, zawiera niejedną ciekawą szczegół z życia b. diecezji sejneńskiej, najmniej być może u nas znanej ze wszystkich w kraju\*).

ex.

## List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze.

Proszę o umieszczenie w Pańskim piśmie tych słów kilku. Przeglądając numery „Słowa” zauważyłem nieraz wielką pięciolowitość tego pisma o etykę dziennikarską Redaktor naczelny „Słowa” wraz ze swoimi współpracownikami aż kilkakrotnie w ostatnich czasach głośił *urbi et orbi* o swej rzekomo wysokiej etyce dziennikarskiej i biadał nad upadkiem tej etyki w innych pismach.

Tymczasem w numerze 77 „Słowa” podaje cały stek fałszu, opierając się niby na wyroku sądowym w mej sprawie. Tu redaktor „Słowa” w zupełności dorównał p. Obstowi, za którym dotychczas pozostawał daleko w tyle, gdy chodziło o sprawy białoruskie naogół, a o moje w szczególności.

W tym numerze „Słowo” twierdzi, że kościół w parafji Żodzizkiej „zamieniony został na arenę wieców, w której rozagitowana grupa białoruska podburzana była przeciw grupie polskiej do czynów występnych”, wobec czego „Słowo” domaga się usunięcia mnie z parafji lub zawieszenia w czynnościach duszpasterskich, przyczem ucieka się do mocy art. XX konkordatu *ad brachium saeculare*.

Podczas gdy to ostatnie żądanie jest zrozumiałe w ustach panów redaktorów i wydawców „Słowa” — chociaż, nawiasem mówiąc, przed ukończeniem procesu przedwczesne — to operowanie wyrokiem w danym wypadku jest najpospolitszym *sfalszowaniem* tego wyroku. Wyrok bowiem głośił, że zostałem skazany za rozpowszechnianie w *rozmowie potocznej* doktryn, nakłaniających do oderwania Białorusi od Polski. A dalej w tymże wyroku powiedziane jest wyraźnie, że z art 129. ust 6, mającego na względzie publiczne pooburzenie jednej części ludności przeciw drugiej, *zostałem uniewinniony*.

Nie wnikając w motywy wyroku co do rozmowy potocznej (o tem rozstrzygną instancje wyższe), tu tylko chciałbym zapytać p Redaktora „Słowa”: gdzie jest Pańska etyka dziennikarska, pozwalająca na fałszowanie wyroku i podawanie za prawdę tego, z czego zostałem uniewinniony? Czy wobec tego nie warto byłoby, panie Redaktorze, zastosować do siebie tych słów ewangelicznych: *medice, cura te ipsum!* i na przyszłość unikać wyjmowania drzazgi z oka brata swego, podczas gdy belka tkwi w oku Twojem „*Wyryć najpierw belkę z oka własnego, a wtedy zobaczysz, jak wyrzucić drzazgę z oka brata twego*” (Mateusz 7. — 5.).

Wyrażę głębokiego szacunku dla Redakcji „Przeglądu Wileńskiego” łączę.

Ks. Wincenty Godlewski.

Żodzizski.

\*) Nie znając bliżej osoby biskupa łomżyńskiego i nie stykając się bezpośrednio z jego działalnością, musimy polegać na powyższych informacjach i krytycyzmie naszego recenzenta, którego bezstronny i wytrwały sąd czytelnicy nasi mieli możność niejednokrotnie ocenić. (Przyp Red.)

## Przegląd prasy żydowskiej.

(O stosunku pana Stanisława Grabskiego do szkolnictwa mniejszości narodowych).

P. M. Sz., wybitny działacz oświatowy żydowski, zamieścił w „Wilner Toгу“ artykuł, który rzuca snop światła na reakcyjną politykę szkolną, stosowaną przez p. Grabskiego do mniejszości narodowych i znajdującą szczególny wyraz na naszym gruncie wileńskim.

Autor artykułu na wstępie zaznacza, iż z chwilą gdy na czele szkolnictwa w Polsce stanął wódz endeków p. Stanisław Grabski, szykany przeciwko szkołom mniejszości narodowych nabierają charakteru do brze obmyślanego systemu.

Jaskółką tego systemu był okólnik w sprawie nauczania historii i geografii powszechnej w szkołach średnich w języku polskim, który ma wyraźnie na celu stopniowe przekształcenie szkoły mniejszościowej w szkołę polską.

P. M. Sz. przytacza szczegóły, znane zresztą naszym czytelnikom, dotyczące akcji mniejszości narodowych w obronie własnego szkolnictwa, poczem podkreśla, iż w praktyce ustawy językowe, zawierające punkt o szkołach utrakwistycznych, oznaczają kompletne zniszczenie szkół mniejszości narodowych.

Zwraca uwagę wyjątkowa gorliwość, z jaką stosowane są okólniki pana Grabskiego przez Wileńskie Kuratorjum Szkolne i inspektorów szkolnych na prowincji.

W tem miejscu przytoczyć warto oświadczenie skierowane przez p. Fedorowicza, naczelnika szkół średnich w Kuratorjum Wileńskim do przedstawicieli Centralnego Komitetu Oświatowego i pozostające w związku z punktem „ugody“, dotyczącym przyznania praw państwowych gimnazjom żydowskim i hebrajskim.

Brzmi ono jak następuje:

„Gimnazjum matematyczno-przyrodnicze (realne) panów jest dobrze postawione i otrzymało by zapewne w tym roku prawa, ale obecnie praw tych panowie nie dostaniecie, albowiem nie wprowadziliście nauczania historii i geografii powszechnej w języku polskim. Możecie się panowie zwrócić do Ministerjum, ale ja ze swej strony poczynię kroki ażeby gimnazjum praw nie otrzymało, jakkolwiek z punktu widzenia pedagogicznego i organizacyjnego zakład ten najzupełniej zasługuje na to, ażeby uzyskać prawa”.

Autor artykułu wymienia całą litanję szykan, stosowanych z uporem godnym lepszej sprawy do szkolnictwa żydowskiego.

Tak naprzykład czynione są liczne trudności przy otrzymaniu koncesji dla szkół w Wilnie, na prowincji zakłady naukowe, należące do mniejszości narodowych narażone są na to, iż lada chwila zostaną zamknięte przez policję, żądanie od nauczycieli dostarczenia świadectw „prawomyślności“ ma na celu podporządkowanie szkolnictwa władzom administracyjnym i t. d. i t. d.

P. M. Sz. w szczególnie ostry sposób rozprawia się z rozporządzeniem Wileńskiego Kuratorjum odnośnie zamknięcia 36 litewskich szkół ludowych w pow. Świeciańskim z powodu braku kwalifikacji u nauczycieli, podkreślając, iż zgodnie z oficjalną statystyką zaledwie 1/3 część nauczycieli w szkołach państwowych posiada odpowiednie kwalifikacje.

Pod adresem P.P.S. autor artykułu czyni uwagę, iż jest rzeczą niesłychaną, aźnby partja socjalistyczna brała udział w rządzie, który zwalcza wszelkimi środkami szkolnictwo mniejszości narodowych:

I oto na podstawie powyżej przytoczonych faktów p. M. Sz. dochodzi do następującej konkluzji:

„Przeciwko takiemu postępowaniu ze strony władz szkolnych wobec szkół litewskich świadoma demokracja wszystkich narodowości, zamieszkujących nasz kraj, powinna ostro protestować.

Demokracje i mniejszości narodowe winny pamiętać, że muszą prowadzić *wspólną* walkę o szkołę narodową. Tylko wówczas, przyciągając szczerą polską demokrację i obóz robotniczy uda się zwalczyć szkodliwą politykę Grabskiego, która wymierzona jest przeciwko zasadzie życia narodowego — szkole w języku ojczystym”.

Doprawdy, trudno nad tego rodzaju faktami, bynajmniej w całokształcie naszego życia politycznego nie odosobnionemi, a stanowiącemi pewien system, przejść do porządku dziennego, wywodom zaś autora odmówić zupełnej słuszności.

Miecz. Gold.

## KRONIKA.

**Kandydat „Kurjera Porannego“.** Wakujący po śmierci ś. p. arcybiskupa Cieplaka tron arcybiskupi w Wilnie, rzecz zrozumiałe, nasuwa ludziom najprzeróżniejsze kombinacje co do jego obsadzenia. Nawet wolnomyślny „Kurjer Poranny“ nie pozostał obojętny i wystąpił z własną kandydaturą, oczywiście „legjonowego“ biskupa Bandurskiego. Ubolewając nad tem, że dotąd bp. Bandurski niema w Polsce stanowiska, organ marszałka Piłsudskiego zaznacza, że „jest jeszcze możność choć częściowego wynagrodzenia krzywdy. Ks. biskup dr. Bandurski od lat kilku przebywa w Wilnie, a jako prawdziwy apostoł wiary i patriotyzmu pracuje tam dla Wiary i Ojczyzny. Zdobył sobie w Wilnie jak i na całych prawie wschodnich kresach serdeczną miłość i popularność u całej katolickiej ludności, a szacunek nawet u inowierców. Tam jego miejsce i tam winniśmy go widzieć na osieroconej diecezji”.

„Kurjer Poranny“ dopuszcza się grubej przesady, utrzymując, że biskup Bandurski zdobył sobie serdeczną miłość i popularność u całej katolickiej ludności, gdyż będąc właśnie przedewszystkiem apostołem patriotyzmu polskiego bp. Bandurski obracał się dotąd wyłącznie wśród ludności polskiej, i to przeważnie w kołach wojskowych i urzędniczych, natomiast nie stykał się zupełnie z ludnością białoruską i litewską i nie wykazał żadnego zrozumienia różnic, jakie dzielą diecezję wileńską od krakowskiej lub warszawskiej.

**Wdzięczność wilanin.** Powiadają, że wdzięczność ludzka należy dźliś do cnót zgola niepraktykowanych, znanych jedynie z legend starożytnych. Jest to pogląd zbyt pesymistyczny bo chociaż może nie jest wdzięczność zjawiskiem codziennem, jednakże i w naszych czasach zdarza się je obserwować. Jeżeli bowiem „Listy, które go nie doszły“, bezlitośnie ośmieszające postać gen. Żeligowskiego świadczą o czarnej niewdzięczności Warszawy względem obnoszonego niedawno na rękach bohatera, to list p. Władysława Adolpha w „Kurjerze Wileńskim“ z d. 11 kwietnia, piętnujący ostro tego rodzaju drwiny z „dzielnego wodza i żołnierza“ jest znów dowodem, że Wilno w swych uczuciach jest stałsze i nie stygnie tak szybko w swych afektach.

Być może ta stałość uczuć jest wynikiem prowincjonalnej zasiedzialości i ignorancji, na co zdaje się wskazywać ustęp listu p. Adolpha w którym autor nie bez pewnego patosu pisze: „Wilanianie dobrze wiedzą, że nie komu innemu, jeno generałowi Żeligowskiemu (zawdęczają, że żyją w wolnej Polsce, a nie w poniewierce litewskiej, jak nasi bracia na Litwie Kowieńskiej“, całemu światu bowiem wiadomo z pamiętników Tommasiniego, że impreza gen. Żeligowskiego nie była jego czynem samodzielnym, lecz została zainscenizowana i wykonana na rozkaz Piłsudskiego, — ale na tem większy podziw i uznanie zasługuje wdzięczność, której żaden sceptycyzm zachwiać nie może...”

**Chlińskie uroczystości w Wilnie.** Pisma wileńskie donoszą, że 14 b. m. w Sali Śniadeckich U. S. B. miała się odbyć „Wielka Akademia Smoka“. Dotychczas słyszeliśmy o uroczystościach na cześć smoka, odbywających się corocznie w Chinach, co jest zupełnie naturalnem, jako że smok stanowi godło narodowe tego państwa. Widocznie wszakże i w Wilnie ostatnio smok wyrugował nie tylko odwieczną Pogoń, ale i panującego od niedawna Orła Białego. Ha, trudno: le roi est mort, vive le roi. Niech żyje smok!